

POLSKA i ŚWIAT WSPÓŁCZESNY  
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

---

F. A. OSSENDOWSKI.

# A F R Y K A

## KRAJE I LUDZIE



NAKŁAD  
GEBETHNERA i WOLFFA  
WARSZAWA

4200  
Hui 34

AFRYKA

**Z CYKLU:**

**CZŁOWIEK W PIĘCIU CZĘŚCIACH ŚWIATA**

**POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY**  
**BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY**

---

**F. A. LOSSENDOWSKI**

**A F R Y K A**  
**KRAJE i LUDZIE**



**NAKŁAD**  
**GEBETHNERA i WOLFFA**  
**WARSZAWA**



I.548 956

## NAD NILEM.

(EGIPT).

Zawsze wesoły, ruchliwy, jak żywe srebro, czternastoletni Mohammed urodził się w nędznej osadzie Fareg. Pamiętał ją doskonale. Około stu chatek, zlepionych z gliny i otoczonych wysokimi płotami z trzciny i badyłów „dura“, ciągnęło się tuż wzdłuż brzegu Nilu.

Fellachowie pracowali w polu, gdzie rosła pszenica, jęczmień, kukurydza i proso, lub też na żaglowych „dachagbach“ płynęli na południe i wrzucali sieci do rzeki, wyciągając sumy, szczupaki i inne ryby. Starzy rybacy opowiadali nieraz chłopakowi o dawnych przygodach rybackich, gdy to niegdyś uwikłał się w ich sieci krokodyl lub gdy nagle wynurzający się hipopotam przewrócił czołno jednookiego Barnaka. Były to zamierchłe już dzieje! Od czasu, gdy na Nilu pobudowano tamy i gdy rzeką, sapiąc i kotłując wodę, przebiegały angielskie parowce, — krokodyle i hipopotamy odpłynęły na południe, tam, gdzie Niebieski i Biały Nil, łącząc się, tworzą szeroki prąd wiel-

kiego Nilu, powolnie dążącego ku morzu Śródziemnemu.

Mohammed od kilku już lat mieszkał w Kairze, gdyż ojciec jego pracował w tem mieście, w małym hoteliku.

Chłopak ukończył szkołę powszechną, nauczył się mówić biegle po angielsku i zarabiał, jako przewodnik po mieście i jego okolicach. Miał wielu konkurentów, zawodowych przewodników, należących do biur podróźniczych i eleganckich hoteli, lecz Mohammed potrafił zawsze znaleźć sobie niezamożnych turystów i za niedużą zapłatą chodził z nimi po stolicy Egiptu, a nawet jeździł na pustynię, gdzie w pobliżu Gizeh stoją piramidy, ciągnące ku sobie podróżników z całego świata.

Pewnego razu do hotelu przybył młody cudzoziemiec, barczysty, o beztroskiej, wesołej twarzy i dzwiecznym głosie. Mohammed przyjrzał mu się bacznie i w mig zrozumiał, że gość nie był Anglikiem. Nieznajomy źle mówił po angielsku, nie był wcale wyniosły i niegrzeczny w stosunku do służby, i nie należał zapewne do klasy bogaczy, ponieważ cały bagaż jego mieścił się w małej i starej walizce, oblepionej różnobarwnymi papierkami z nazwami hoteli całego niemal świata.

Ujrawszy go wieczorem, chłopak podbiegł do niego i powiedział spokojnym i poważnym głosem:

— Pan przyjechał obejrzeć Kair? Może się przydam panu? Jestem — Mohammed ben Ruhi, przewodnik... tani przewodnik...

Cudzoziemiec spojrzał na niego i uśmiechnął się łagodnie:

— Podobasz mi się, mój mały! — zawołał. — A wiesz dlaczego? Dlatego, że nie narzucasz się natrętnie, nie skamlesz płaczliwym, niewolniczym głosem i masz śmiałe i wesołe oczy. Posłuchaj, mój mały przyjacielu Mohammedzie, przybyłem nie do Kairu, który znam, lecz do Egiptu. Potrzebuję nie przewodnika dla opowiadania mi przeróżnych bajek i głupstw, lecz tłumacza, dla porozumienia się z ludnością. Jeżeli więc nie zedrzesz ze mnie skóry, to ubijemy interes — i ty, i ja. Pojechalibyśmy aż do południowej granicy Egiptu i spędzili razem cały miesiąc. Gadajże teraz, ile żądasz za swoją pracę?

Mohammed namyślał się długo, aż wreszcie wymienił rzeczywiście skromną sumę, jarzącemi się oczyma patrząc na gościa.

— Zgodził się — kiwnął głową nieznajomy. — Jutro prędko przebiegniemy Kair, a wieczorem wsiądziemy na statek. O szóstej rano spotkasz mnie na tarasie przed hotelem.

Mohammed pożegnał go i pobiegł do ojca, aby opowiedzieć mu o wszystkim.

Po drodze wpadł do portjera i, wskazując ręką stojącego na chodniku gościa, zapytał:

— Jak zapisaliście tego cudzoziemca w rejestrze meldunkowym, panie Izmailu?

Portjer, nałożywszy okulary, przewrócił kilka kart dużej książki i przeczytał:

— René Maunier, Francuz, profesor. Nieświeatny zrobiłeś interes chłopcze, bo uczeni, to — niezamozny lud!

— Eh! — machnąwszy ręką, odpowiedział Mohammed. — Podobal mi się ten człowiek — dobry i prosty człowiek!

— To twoja sprawa! — wzruszył ramionami Izmail. — Dobrego człowieka spotyka się teraz istotnie bardzo rzadko. Powiem ci też tak: jeżeli będziesz rozumny i uważny, nauczysz się od tego uczonego gościa niemało rzeczy pożytecznych.

Tak się nawiązała znajomość małego przewodnika, Mohammeda ben Ruhi, z francuskim profesorem Maunier.

Po spotkaniu się na tarasie przed hotelem chłopak, pozdrowiwszy Francuza, spytał go:

— Cóż będziemy zwiedzali? Wszędzie zaprowadzę pana najkrótszą drogą, bo znam Kair, jak własną kieszeń.

Uczony uśmiechnął się i zawołał wesołym, lekko drwiącym głosem:

— Chętnie wierzę, bo nietrudne to naprawdę zadanie!

— Przepraszam! — oburzył się Mohammed. — Kair jest wielkiem miastem, posiada osiemset tysięcy mieszkańców...

— Wiem, wiem! — ze śmiechem przerwał mu profesor. — Macie tu starożytny meczet okrutnego Amru z marmurowymi kolumnami, strzelisty, wspaniale rzeźbiony minaret Kait-beja, me-

czet Hama el-Azchar i Husseina, cytadelę i bogate muzeum! Ale ja mówiłem o twojej kieszeni chłopakul

Mohammed parsknął głośnym śmiechem i, uspokoiwszy się odrazu, spytał znowu:

— Co życzy sobie czcigodny cudzoziemiec widzieć w Kairze?

Profesor spoważniał nagle i odparł:

— Znam tu każdy zakątek, Mohammedzie, słyszałem i mogę powtórzyć ci prawdziwe historie i niemądre bujdy, opowiadane przez przewodników. Wiem, że to wódz sułtana Omara — Amru założył miasto na miejscu swego obozu w VII w. po Narodzeniu Chrystusa. Oglądałem trzecią kolumnę w jego meczecie, a w niej — szczelinę. Mułłowie twierdzą, że wasz prorok Mahomet kazał tej kolumnie lecieć z Mekki do Kairu, a gdy nie ruszała się z miejsca, smagał ją biczem, od czego powstała owa szczelina... Wszystko to pamiętam i nie chcę raz jeszcze oglądać tych rzeczy i słuchać bajek o nich! Pójdziemy na bazyry, Mohammedzie, bo one interesują mnie dziś najwięcej!

Chłopak poprowadził uczonego. Szli przez wąskie uliczki, zatłoczone Fellachami, Koptami, Arabami, Beduinami, Żydami i Ormianami. W jednym miejscu musieli czekać, aż przejdzie długa karawana, złożona z wielbłądów, w innym — trafili w środek drepącego stada osłów, uginających się pod ciężarem worków z daktylami i kosowymi orzechami. Co chwila rozlegały się

okrzyki: „Ruach“ (uwaga)! Szemalek (na lewo)! Ieminek (na prawo)! Uarek (nabok)! Wreszcie doszli do bazaru Kazabet-Ridnan, gdzie poważni, brodaci kupcy arabscy i perscy sprzedawali wyroby ze skóry: obuwie, sakwy, siodła, pochwy do strzelb; na innych bazarach profesor Maunier jakgdyby w roztargnieniu przyglądał się pięknym, barwnym tkaninom z jedwabiu i białej wełny, złotym i srebrnym haftom, na innym znów — broni arabskiej i błyskotliwym ozdobom dla kobiet, łakociom wschodnim i różnym wyrobom, przywiezionym do Kairu z Damaszku, Bagdadu, Teheranu, Jemenu, a nawet z Cejlonu, jak zapewniali profesora kupcy, rozkładając przed nim i zachwalając swe towary.

Wkońcu profesor westchnął i nagle przemówił. Mohammed aż usiadł ze zdumienia. Uczony mówił najczystszym, pięknym językiem arabskim:

— Smutek ogarnął moje serce! Widzę, że stare rzemiosło zanika... Pokazujecie mi towary, fabrykowane przez maszyny i nieudolnie naśladowujące wyroby wprawnych rzemieślników kairskich, damasceńskich i perskich.

Kupcy milczeli, z podziwem i szacunkiem słuchając nieznajomego.

Profesor skinął na chłopaka i kazał mu prowadzić się do karawan-seraju, gdzie chciał napić się kawy, bo suche, skwarne powietrze i prażące promienie słońca znużyły go.

Wpobliżu placu Rumejle usiedli w zacienionym

zakątku dziedzińca, zatłoczonego ludźmi, wielbłądami i stadem baranów.

Maunier siedział w milczeniu i przysłuchiwał się rozmowom Fellachów i Beduinów. Ludzie ci pili kawę, raczyli się lodami, grali w karty i warcaby, prowadząc ożywioną rozmowę.

Po pewnym czasie profesor westchnął i mruknął do chłopaka:

— Twoi rodacy uskarżają się na ciężkie rządy Anglików w Egipcie i złorzeczą im. Biedacy! To im nie pomoże.

Mohammed podniósł oczy na mówiącego i zmarszczył brwi.

— Panie — szepnął — wydajesz mi się dobrym i sprawiedliwym. Nie jesteś też Anglikiem, więc powiem ci szczerze to, co setki razy słyszałem od starych ludzi. Z każdym rokiem coraz bardziej stajemy się niewolnikami białych! Pracujemy na ich plantacjach, tracimy swoje pola, we wszystkim zależy od Anglików. Mogą zagłodzić nas, mogą pozbawić ubrania, obuwia i najpotrzebniejszych rzeczy! Nie możemy tego znieść dłużej!

Profesor Maunier uważnie przyglądał się chłopakowi.

Gdy mały Fellach umilkł, spytał go:

— Powiedz mi, dlaczego twoi rodacy sprzedawali swoją rolę Anglikom? Dlaczego porzucali swoje zagrody i szli uprawiać plantacje bawełny i trzciny cukrowej?

Mohammed, zaskoczony tem pytaniem, milczał.

Maunier westchnął i, pochylając się ku niemu, powiedział:

— Opętał ich zły duch chciwości, chłopczel! Sprzedawali ziemię — karmicielkę za złoto białych przybyszów. Sprzedawali swoje siły i pracę dla zarobku, porzucali skromne życie dla zbytku, chociaż na korzystanie z niego nie mieli czasu. Praca na plantacjach wymaga całego wysiłku człowieka od wschodu słońca i do zachodu!

— Prawda!... prawda! — syknął Mohammed. — Niektórzy nie modlą się już w południe, gdy mu-ezzin nawołuje z minaretu. Nie mają na to czasu...

Nic już nie mówiąc, powracali do hotelu.

— O dziewiątej przyjdiesz do mnie i pojedziemy na statek — przypomniał Mohammedowi Francuz, gdy stanęli przed hotelem.

Chłopak ze zdumieniem na twarzy spytał:

— Pan nie chce pojechać do Gizeh?

Maunier wzruszył ramionami i odparł:

— Poco? Zobaczyć piramidy? Wiem przecie, że Sfinks, przezwany „ojcem strachu“, stoi na tem samem miejscu, gdzie go postawiono przed sześciu tysiącami lat; wiem że piramidy Cheopsa, Chefrena, Mykerina i inne mniejsze wznoszą się nad piaskiem Libijskiej pustyni. Pamiętam dokładnie, że są one grobowcami dawnych władców Egiptu — faraonów i wielkich kapłanów bogów Amona i Ozirisa. Nie wątpię, że tysiące biednych ludzi zabito i zamęczono przy wznoszeniu

tych potwornych budowli, aby pamiętano przez wieki całe budzące strach i szacunek imiona faraonów, tych synów słońca — boga Ra... Widziałem to już, a ze szczytu piramidy Cheopsa, z wysokości 137 metrów patrzyłem na pustynię i na Nil. Nic tam nowego nie zobaczę teraz! Egipt potężnych królów i tajemniczych kapłanów umarł. Nie chcę znać starego Egiptu, pragnę poznać nowy, młody! Przyjechałem tu, aby ujrzeć Egipt biednych, lecz podnoszących już głowy Fellachów, posłyszeć ich skargi na białych ludzi i zrozumieć, kto jest winien: Fellachowie czy Anglicy?

— Anglicy! — mruknął Mohammed.

— Być może...—kiwnął głową Francuz.— Przekonamy się o tem niebawem, miły przyjacielu!

\*

Kilka dni trwała podróż Nilem.

Statek, obwożący turystów, zatrzymał się w różnych miastach, pozwalając podróżnym zwiedzać kraj. Przedstawiał się on, jako długa oaza, przecięta rzeką, a podzielona na dwie części—szeroką — od Kairu do Śródziemnego morza—dolny Egipt, położony w delcie Nilu, i górny Egipt—wąską dolinę—od Kairu do południowej granicy koło W a d i H a l t a. Wokoło tej oazy, ze wszystkich stron, rozparły się pustynie: Libijska — na zachodzie, Nubijska — na południu i Arabska — na wschodzie.

— Rozumiesz mój mały, — spytał pewnego razu Maunier, — dlaczego starożytni nazywali Egipt „darem Nilu“?



— Tak! — zawołał Mohammed. — Rzeka przynosi dużo wody, wychodzi z brzegów, zatapia i użyźnia martwe piaski, podtrzymując życie roślin w tym kraju!

— No tak! — odpowiedział uczony. — A czy ty wiesz, że Anglicy znacznie zwiększyli przestrzeń uprawnej ziemi, pobudowawszy tamy na Nilu i skierowując nadmiar jego wody do dużych i małych kanałów, które przecinają martwe dotychczas, jałowe okolice, gdzie teraz Fellachowie zbierają bawełnę lub ścinają trzinę cukrową?

— Wiem! — mruknął chłopak. — Uczynili to dla siebie, aby jak najwięcej ziemi zagarnąć dla swoich plantacji! Fellachowie nie korzystają z tych odebranych pustyni obszarów... Pracują tam dla Anglików!

Podczas postoju w Karnaku i Luksorze, uczony wraz z Mohammedem zwiedzał ruiny tej rozległej i wspaniałej świątyni, wybudowanej przez Ramzesa II-go, a poświęconej Amonowi. Ruiny wznosiły się na prawym brzegu, a na lewym widniały Gurna, Ramesseum i Medinet-Abu — dla innych celów zbudowane niegdyś świątynie.

— Słyszałeś, zapewne, — zaczął Maunier — że stała tu stolica faraonów—Teby. Na prawym brzegu Nilu powstało przed wiekami hałaśliwe, rojne, bogate, barwne miasto żyjących, na lewym—ciche, milczące miasto umarłych, gdzie setki kapłanów modliło się za dusze nieboszczyków, zwożonych tu z całego Egiptu, a „Kołchici“ przyrzą-

dzali z nich mumie, które w grobowcach swych przeleżały aż do naszego czasu?

Mohammed skinął głową i wyrecytował jednym tchem:

— Świątynia Karnaku posiada cały las kolumn, ogromny posąg Ramzesa i starożytne obrazy... Za rzeką stoją kolosy Memnona, które niegdyś wydawały dźwięki, jak żywe...

Profesor słuchał, przytakując. Wreszcie spytał:

— Jak myślisz Mohammedzie, dlaczego kraj faraonów, umiejących wznosić tak potężne gmachy i posągi, kraj niezmiernie bogaty i zwycięski, zamienił się w ojczyznę niewolników, umiejących budować tylko nędzne lepianki i dłubać żyzną ziemię drewnianym pługiem?

— Nie wiem! — odpowiedział chłopiec.

— Zdaje mi się, że zgadłem przyczynę tego! — ciągnął uczony Francuz. — Myślę, że wiedza pozostawała wtedy wyłączną własnością królów, kapłanów i dostojników. Lud zaś pozostawał w ciemnocie i niewiedzy. Gdy uczeni zginęli, lud wpadł w ostateczną nędzę, żył bez pomocy i kierownictwa, bo niczego się nie nauczył. Tak się działo i przed rządami Anglików. Aż Fellachowie zaczęli się uczyć sami i teraz macie nie tylko własnego króla i własny parlament, lecz swoich budowniczych, inżynierów, agronomów, lekarzy i uczonych. Mało ich jeszcze posiadacie, lecz oni potrafili już upomnieć się o prawa gospodarzy tej ziemi i biorą udział w rządzeniu państwem. Gdy młodzi Fellachowie i Koptowie

będą się garnęli do wiedzy i potrafiać budować tamy na Nilu, użyźniać ziemię, walczyć z chorobami, uczyć dzieci wieśniaków i mieszczan, porozumiewać się z białymi ludźmi, jak równy z równym, — wtedy ani Anglicy, ani nikt inny nie odważy się sięgnąć po plony ziemi egipskiej, nie będzie uważał was za niewolników! Wiedza wyzwala ludzi z poddaństwa, wiedza podnosi człowieka i ludy, mój mały! Należy jednak pamiętać, aby wiedza nie zabijała dobrych obyczajów, sumienia i miłości do bliźniego, bo gdyby się tak stało — zginęliby Fellachowie, Koptowie i koczownicy pustyni! Uczcie się od Anglików i pamiętajcie, że ich wiedza może wyzwolić was, ale może też zgubić, jeżeli nie potraficie zastosować jej rozsądnie i uczciwie.

— Panie — zawołał Mohammed, — ja tak bardzo pragnę wiedzy!

Maunier położył mu dłoń na ramieniu i szepnął:

— Kto silnie pragnie, ten potrafi dokonać...

\* \* \*

Przez cały miesiąc jeszcze podróżowali razem. Profesor stopniowo stał się przewodnikiem, a Mohammed słuchał opowiadań uczonego. Maunier pokazał chłopakowi rozległe plantacje trzciny cukrowej, należące do Anglików i innych cudzoziemców. Ogromne pługi motorowe cięły brzozy w żyznej ziemi, gdzie niedawno jeszcze hamsin, wichry pustyni, gromadził kurhany lotnego piasku; inne maszyny ścinały trzinę, wiązały ją w ciężkie pęki; samochody odwoziły je do cukrowni, gdzie inży-

nierowie i chemicy przerabiali ścięte badyłe na cukier; beczki i skrzynie z cukrem ładowano na statki i odstawiano do portu Aleksandrii.

— Za parę miesięcy — mówił z uśmiechem profesor — ludzie ze skrajnej północy Europy — w Norwegji i Szwecji będą pili kawę i herbatę, osłodzoną waszym cukrem!

— A pieniądze za niego schowają sobie do kieszeni Anglicy! — wybuchnął Mohammed.

Francuz zaśmiał się cicho i spytał:

— Czy widziałeś Fellachów, pracujących na plantacji i cukrowni? Otrzymali dziś swoją zapłatę i patrzyliśmy na nich, jak biegli do sklepów angielskich i kupowali niepotrzebne, zbytkowne rzeczy. Gdyby oszczędzali, mogliby zebrać wspólny kapitał i założyć własną plantację i cukrownię. Tymczasem trwonią ciężko zapracowane pieniądze na niepotrzebne im, drogie rzeczy, przynoszą je do swoich nędznych chat, gdzie wynędzniałe kobiety z takim trudem zbierają na źle uprawionem polu ubogi urodzaj prosa i kukurydzy. Powiedz mi, któż temu winien — Anglicy czy Fellachowie?

Mohammed zacisnął wargi i namarszczył gęste, czarne brwi. Wreszcie mruknął:

— Jesteśmy ciemni i leniwi! Nasza to wina, że jesteśmy ograbiani...

Maunier kiwnął głową i przytaknął:

— No, widzisz! No, widzisz! Pamiętaj, że nienawisć nie uratuje was. Musicie się uczyć, łączyć

i pracować, jeżeli chcecie ostatecznej wolności!  
Jest was piętnaście milionów — to wielka potęga,  
mój przyjacielu!

Dopłynąwszy do granicy Egiptu, przesiedli się  
na inny parowiec i, już nigdzie się nie zatrzy-  
mując, ruszyli z biegiem Nilu do Kairu.

Wpobliżu tego miasta plantacje trzciny cukrowej  
zniknęły; zjawily się natomiast obszerne połacie, po-  
kryte dojrzewającą bawełną. Niskie krzaczki usia-  
ne były owocami. Pękały już, a wypadający z nich  
biały puch przypominał Francuzowi przysypane  
śniegiem pola północy.

Delta Nilu stanowi odwieczną ojczyznę bawełny,  
tego bogactwa Egiptu, prawdziwego skarbu, cen-  
niejszego od złota. Kultura tej rośliny oparta zo-  
stała na systemie trzypolowym. W delcie sieją  
ją w kwietniu, zbierają — w listopadzie i grudniu,  
w Egipcie Górnym siew odbywa się w lutym,  
zbiór — we wrześniu i w październiku. W ten  
sposób Egipt przez cały rok dostarcza bawełny  
fabrykom europejskim, wywożąc z portu Aleksan-  
drji około 360.000 tonn. Egipt produkuje około  
2½ miliona tonn cukru. Poza tem kraj ten do-  
starcza daktyli, ziaren orzechów kokosowych i su-  
szonych owoców, wysoko cenionych na rynkach  
europejskich.

Po przybyciu do Kairu Maunier pojechał z Mo-  
hammedem do starożytnej stolicy Memfis.

Miasto to znikło oddawna. Pozostał tylko roz-  
legły bardzo cmentarz, z szeregiem piramid i z Sera-

peum — olbrzymim, zasypanym piaskiem gmachem gdzie grzebano bogatych i znakomitych Egipcjan. Niedaleko też w głębokim dole leżał posąg Ramzesa, obalony niegdyś przez trzęsienie ziemi.

Profesor postanowił wejść na szczyt piramidy, która miała na swych zboczach stopnie.

Zbudowana z cegły, obsypywała się coraz bardziej, dogorywając na odludziu, wśród tysięcy ukrytych pod piaskiem grobowców.

W pewnem miejscu z pod stóp uczonego wyslizgnęła się cegła. Maunier potknął się i upadł, stoczywszy się z wysokości kilku metrów.

Z trudem przywiózł Mohammed potłuczonego i skrwawionego profesora do Kairu, gdzie nie odchodził od jego łóżka, troskliwie opiekując się chorym.

Po tygodniu uczony mógł już chodzić i oznajmił, że nazajutrz wyjeżdża do Aleksandrii, aby wsiąść na statek, odchodzący do Europy.

Łzy stanęły w oczach chłopaka. Spostrzegł to Maunier i, obejmując, go szepnął mu do ucha:

— Nie smuć się! pojedziemy razem! Zabiorę cię do Francji i oddam do szkół, abyś powrócił tu wolnym człowiekiem, przygotowanym do walki o szczęście swego narodu.

Mohammed z okrzykiem radości przycisnął do ust dłoń uczonego.

Mohammed miał zaledwie kilka godzin na obejrzenie Aleksandrii, gdy kolejną przybyli do tego portu.

Ras et Tin — letnia rezydencja króla i wybrze-

że kanału Machmudie, doprowadzającego do portu wodę z Nilu, otoczone szeregami drzew akacjowych, cytrynowych i pomarańczowych, ozdobione malowniczymi pałacami i ogrodami, najwięcej się podobały chłopakowi. Przyglądał się z zachwytem błyszczącym samochodom Anglików i bogatych kupców arabskich i cudzoziemskich, usiłując zgadnąć, jak tu będzie wyglądać ten ożywiony port, gdy Egipt stanie się zupełnie niezależnym? Nie mógł sobie tego wyobrazić, zresztą nie miał na to czasu, bo na wieży portowej zegar wybił południe. Za godzinę odpływał statek, na którym czekał go już profesor Maunier.

Pobiegł więc w stronę przystani.

*W KRAJU PIRATÓW i SZEIKÓW.*  
(Z ALGERJI).

Czarne, ciężkie chmury gromadziły się nad Algierem. Od czasu do czasu zaczynał kropić deszcz, lecz ustawał po chwili. Od strony morza dochodził ryk i plusk bałwanów morskich, bijących w kamienne molo i piennemi strugami przelewających się przez mur. Silny, porywczy wiatr dął od gór Kabylskich, gdzie na najwyższych szczytach tam i sam majaczyły jeszcze białe płachty śniegu.

O tej późnej godzinie nocnej cisza panowała w ruchliwym mieście, nazywanem „Paryżem Afryki“. Tramwaje nie pędziły już wzdłuż szerokich ulic; zrzadka tylko przemykał się prywatny samochód. Chodniki puste były, a spadające liście kasztanów i magnolji mknęły z szelestem po kamiennych płytach, smagane wiatrem.

Na rogach ulic widniały skulone postacie francuskich policjantów, otulonych w ciepłe, granatowe peleryny.

Od strony zatoki dobiegał przeraźliwy ryk

spóźnionego parowca, dobijającego do brzegu po długiej i ciężkiej walce ze wzburzonym morzem.

Na granitowe wybrzeże, niedaleko od białych murów meczetu Mustafy wyszedł Arab. Wysoki, zgrabny jak topola, szedł śmiałym, pewnym krokiem, chociaż porywczy wiatr szarpał go za poły burnusu i usiłował zerwać mu z głowy białą turban, opasany czerwonym sznurem.

Arab przeciął plac Republiki i zanurzył się w labiryncie wąskich, ledwie oświetlonych zaułków. Szedł szybko, chociaż nierówny, pełen dziur i wybojów chodnik piął się na zbocza wzgórza. Z poza nieszczelnie zamkniętych drzwi i okiennic padały pasma światła i dobiegały odgłosy fujarki i bębenka, ponure, groźne śpiewy lub głośny i chrapliwy śmiech.

Wreszcie doszedł do serca miasta. Dzielnica ta, zamieszkała przez Arabów, nosi nazwę „kazby“ czyli twierdzy, bo istotnie na szczycie niewysokiej góry, zabudowanej dużymi i małymi domami, wznosiły się porzucone obecnie bastjony i obszarpiane mury groźnej niegdyś fortecy tureckiej. Świadczyła ona o krwawych rządach wojewodów sułtana, które się skończyły z przybyciem Francuzów, zdobywających Algerję od morza Śródziemnego aż do Sahary.

W chwili, gdy Arab wkroczył do kazby, na gmachu magistrackim zegar wydzwonił północ, a jednocześnie na szczycie cienkiego minareciku

zjawił się muezzin i jęklwym, drgającym głosem jął wykrzykiwać:

— La Illa Illach Allah u Mahomet —  
Rassul Allah Akbar!

Arab podniósł głowę i mruknął do siebie:

— Spóźniłem się... Stary Jusuf śpi już dawno...

Zapуścił się w ciemną, wąską uliczkę. Biegła w górę, załamując się co chwila i znikając za potężnymi rogami ślepych, grubych murów. Arab szedł szybko wyślizganemi, krzywemi stopniami uliczki. Kamienie, zlane różnemi nieczystościami i zaśmiecone papierami, skórkami pomarańcz i łuską orzechów, śliskie były, lecz przyzwyczajony do takich uliczek Arab szedł pewnym, zamaszystym krokiem.

W rynsztokach szemrała płynąca woda, dźwięcznie pluśkała mała fontanna na skrzyżowaniu dwu uliczek; śmigały szczury, a łąciaste, białe-rude koty skradały się ku nim.

W murach czaiły się nędzne legowiska ludzkie, do czarnych jaskiń podobne. Gnieździła się tam biedota miejska: tragarze, ładujący okręty, żebracy, drobni rzemieślnicy, wieśniacy, przybywający z dalekich osad i szukający taniego noclegu w mieście.

Z tych nor, ukrytych w głębi murów, buchały czerwone błyski płonącego ogniska i kłęby dymu; rozpływały się w powietrzu zapachy topionego łożu baraniego, cebuli, czosnku, suszonych ryb i warzonego mięsiwa. Jakieś skulone postacie

siedziały na słomianych matach i przy niskich stolkach grały w karty i warcaby, jadły i paliły fajki o długich cybuchach lub „nargile“. Kobiety w brudnych, niegdyś białych burnusach krzątały się koło ogniska, przygotowując strawę. Twarze miały zasłonięte płachtami, bo zwyczaj muzułmański nie pozwala kobietom pokazywać swego oblicza obcym mężczyznom. Zaduch, gorąco i brud panowały w tych barłogach ludzkich, lecz nie przeszkadzało to, że tu i tam rozlegała się muzyka, śpiew i miarowy tupot tańczących nóg. W innym znów zakamarku, szczelnie zatłoczonym Arabami, w milczeniu słuchano jakiegoś starca, śpiewnym głosem opowiadającego o dawnych dziejach, o sławnych kalifach, wspaniałych sułtanach i groźnych piratach, którzy porywali łupy i jeńców, zapuszczając się na swych galerach aż do brzegów Hiszpanji, Francji i Anglii.

Tu na kazbie, otoczonej zewsząd francuskimi gmachami, wojskiem i policją, ludzie Algerji żyli zwykłym życiem, — takim, do jakiego przywykli w swoich wsiach — bledach lub przenoszonych z miejsca na miejsce koczowiskach — duarach.

Skręciwszy w wąziutką, do szczeliny podobną uliczkę, nad którą wystające balkoniki przeciwnieległych domów niemal stykały się ze sobą, tworząc sklepienie, Arab odnalazł w murze żelazną furtkę i zapukał w nią kołatką. Ku wielkiemu zdumieniu spóźnionego gościa stary, dziobaty Arab

po krótkiej chwili oczekiwania uchylił przed nim drzwi i wpuścił go do wnętrza.

Był to zwykły na kazbie dom bogatego człowieka. Wchodziło się tu na obszerne podwórze, otoczone strzelistemi topolami, ozdobione trawnikiem z bijącą pośrodku fontanną. Podwórze to kryło się wśród potwornie grubych i wysokich murów, w których głębi mieściły się pokoje mieszkalne, pełne drogich kobierców, wygodnych sof wschodnich, brązowych świeczników i zwisających z sufitu latarni z różnokolorowych szkieł.

— Mój pan — sidi Jusuf ben Ghazi el Akid oczekuje ciebie, sidi! — oznajmił sługa, prowadząc gościa i świecąc mu latarką.

Weszli do dużej izby, gdzie przed okrągłym stolikiem siedział sędziwy starzec w ciemnym zawoju i z ciekawością przez duże okulary przyglądał się wchodzącemu gościowi.

— Salam alejkum! — rzekł gość, dotykając dłonią swych piersi, warg i czoła.—Wybacz mi, sidi Jusuf, że wpadam tak późno! Mam jednak pilny interes i niezmiernie ważny!

— Alejkum salam! — odparł starzec, kiwając głową. — Rad jestem widzieć cię u siebie, sidi Abdallah ben Ihudi! Siadaj, proszę!

Skinąwszy na sługę, kazał mu przynieść kawy i owoców, a gdy ospowaty Arab zniknął za kotarą, szybko pochylił się do Abdallaha i szepnął:

— Wiem już o wszystkim! Dostałem wczoraj

pismo z oazy Gardaja od przyjaciół. Mówi co mam robić?

Urwał, bo wszedł sługa, niosąc w jednej ręce tacę z drobniotkami filiżankami i mosiężnem naczynkiem, pełnem dymiącej, aromatycznej kawy, w drugiej — kosz z winogronami, pomarańczami i granatami.

Gdy sługa, cicho stąpając, opuścił izbę, Abdallah szeptem jął opowiadać:

— Na południu zjawił się jakiś człowiek z Timbaktu i twierdzi, że jest prorokiem, posłanym przez Allaha, aby wypędzić z Algerji białych ludzi...

— Zapewne znowu jakiś fałszywy prorok i awanturnik? — przerwał mu Jusuf, krzywiąc wargi.

— Zapewne! — wzruszył ramionami gość. — Ale nic mnie to nie obchodzi, bylebym mógł na nim zarobić! Takie ciężkie teraz nastały czasy, sidi! Ten prorok ma pieniądze od Niemców i płaci hojnie. Musisz wypłynąć jutro w nocy, trzymając się zachodniego brzegu, a ujrzysz statek z jedną tylko zieloną latarnią. Przyjmiesz od jego załogi sto skrzyń z bronią i trzydzieści z nabojami, odstawisz ładunek na przylądek Dżinet, gdzie karawana moja będzie czekała na ciebie. Oto masz pieniądze...

Stary Arab drapieżnym ruchem porwał podaną mu paczkę banknotów, długo i starannie liczył je chciwemi, drżącemi palcami.

— W porządku! — zamruczał wreszcie. — O tej właśnie sumie pisali mi przyjaciele... Moja dwu-

masztowa krypa na czas stawi się pod skałą przykładu, sidi Abdallah!

Nie mówili już więcej o tej sprawie, głośno wysysając soczyste grona winne i popijając kawę. Nagle Jusuf podniósł głowę i, przymrużywszy oko, spytał:

— Na Allaha! Ty, szeik szczepu Rasamija, podejmujesz się takiej niebezpiecznej roboty, jak przemycanie broni?

Gość podniósł ramiona i, westchnąwszy, odpowiedział natychmiast:

— Powiadasz — szeik? Byłem nim przed dzieśnięciu laty, a teraz jestem biedakiem!

— Co się stało? — ze współczuciem w głosie zadał pytanie starzec.

— Stało się to, co wszystkich nas oczekuje! — mruknął Abdallah. — Moi ludzie poszli za radą Francuzów, nauczyli się uprawiać rolę, kopać studnie i handlować zbożem! Porzucili oni dawne życie koczowników i mnie — swego wodza! Teraz pobudowali sobie chałupy i pracują w polu. Wzbogacili się wszyscy. Mają obfite urodzaje pszenicy, jęczmienia i prosa. Zbierają wino i sprzedają Francuzom. Sadzą palmy daktylowe i zakładają ogrody drzew oliwnych. Zyski mają wspaniałe i nie chcą znać mnie — swego szeika, bo już nie jestem im potrzebny!

— Dlaczegoż nie pójdziesz za ich przykładem? — spytał Jusuf.

— Dlaczego?—powtórzył Abdallah.—Jestem wojownikiem i kocham wolność...

Stary Arab milczał, ciągnąc dym z długiej fajki.

— Teraz ja zapytam ciebie, czcigodny sidi — przerwał milczenie gość — dlaczego ty, jeden z najbogatszych ludzi w Algierze, posiadający pałac, biuro transportowe na głównej ulicy, szacunek wśród Francuzów i kilkanaście okrętów, dlaczego ty przyjmujesz zlecenia na przeładowanie z niemieckiego parowca zakazanej broni dla powstańców?

Jusuf spokojnie odłożył fajkę, zdjął okulary i, mrużąc oczy, bacznie przyglądał się gościowi.

Po chwili zaczął pukać palcami w blat stolika i mówić głębokim, rozmarzonym głosem:

— Spójrz na te mury mego domu, sidi! Wszak to twierdza! Pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi w tych wąskich uliczkach bronić jej może przez dwa miesiące. Czy dobrze mówię? No — widzisz! A czy wiesz, że w tych murach żył mój daleki pradziad, który rządził całą prowincją w Hiszpanji, gdy ją opanowali Maurowie; inny mój przodek bił się na morzu z Anglikami, Francuzami, Włochami i Grekami; inny znów był tak potężnym dowódcą własnej floty, że nie uznawał nawet namiestnika sułtana tureckiego i do oczu mu skakał... Cały ród Ghazi el Akidów — od dziada, pradziada był, jest i będzie rodem piratów, tygrysów morza! Dlatego to każda niebezpieczna wyprawa pociąga mnie i zarzewa starą, stygnącą już krew! Tu na kazbie my wszyscy tacy — gniazdo to pirackie! Rozumiesz?

— Rozumiem! — odpowiedział Abdallah i, powstawszy, żegnał starca, całując go w ramię i szepcząc zwykle życzenia powodzenia dla gospodarza, jego domu i rodziny.

\*

\*

\*

W pięć dni później karawana złożona z pięćdziesięciu wielbłądów i sześciu ludzi, sunęła szybko ku południowi. Przewodnik jej, jadący na czele, dziwną wybierał drogę, prowadząc karawanę tak zwanym „czarnym szlakiem”, którym niegdyś przybywali do Algerji kupcy z poza Nigru, a teraz oddawna nie uczęszczanym.

Szlak ten przecinał malowniczy, górzysty kraj Kabylii, gdzie wioski, niby gniazda orle, wieńczyły szczyty gór, porośłych cedrami; w głębokich dolinach widniały ogrodzone niewysokimi murami kwadraty winnic, gaje oliwne i figowe, gdzie pracował dorodny, poważny lud, przechowujący stare obyczaje rzymskich wojowników, broniących niegdyś tej kolonii wielkiego cesarstwa. Przekroczywszy dwa razy linję kolejową, karawana dotarła wreszcie do dziwnego miasta bez mieszkańców.

Nazywało się ono Timgad, wybudowane wśród gór, południowemi uskokami swemi ginących na pustyni Sahara. W pierwszym stuleciu po Narodzeniu Chrystusa, rzymski cesarz Trajan rozkazał swemu trzeciemu legionowi założyć to miasto na południowym krańcu skwarnej afrykańskiej kolonii. Barbarzyńskie szczepy koczowników podziwiałały wspaniałe gmachy, powstające na pustynnej rów-

ninie, otoczonej wieńcem gór. Szeroka droga, wykładana płytami białego kamienia, ozdobiona kolumnami, prowadziła na forum, główny plac, gdzie wznosiły się świątynie i pałace starszyny rzymskiej; inne ulice biegły ku amfiteatrowi, świątynom różnych bóstw, do łaźni publicznych, na rynek, w stronę łuku Trajana i do Kapitolu z posągiem boga Jowisza. Widocznie szczęśliwe i bez troskie pędzili w Timgadzie życie rzymscy legjoniści, bo na forum pozostał wyryty w kamieniu napis: „Polować, kąpać się, grać i śmiać się — to znaczy żyć“!

Przewodnik, który prowadził karawanę, ujrawszy ruiny rzymskiego miasta, poczuł niepokój i troskę.

Wiedział, że należy dać wypoczynek zwierzętom i ludziom. Szli już dwa tygodnie, zatrzymując się na parę godzin zaledwie, zmuszeni kryć się w wąwozach lub pod stromym brzegiem wyschłych rzeczek algierskich. Przechodzili właśnie środkową część kraju, tak zwany — Tell. Przed trzydziestu laty rozparł się tu step, gdzie koczowali Berberowie i Arabowie ze swemi stadami. Teraz wszystko się tam zmieniło. Francuzi nawodnili Tell, wykopawszy studnie i ustawwszy pompy, nauczili ludność uprawy roli i walki ze szkodnikami. Znikły namioty koczowników, a na ich miejscu powstały wioski i duże osady, leżące wśród zielonych, urodzajnych pól i sadów. Przywykli do

wolności i lenistwa tubylecy stali się rolnikami i, wzbogaciwszy się, zapomnieli wkrótce o karabinie i szabli, których nie chciały się imać spracowane przy pługu dłonie. Młodzi Algierczycy, ukończywszy szkoły francuskie, nie pamiętali już starych pieśni wojowników, marząc nie o krwawych najazdach i wojnach, lecz o wiedzy, która zapewniłaby im stanowisko wśród innych narodów, dobrobyt i wolność.

Wieśniacy z Tellu nie lubią awanturniczych rodaków, wszczynających bunt i zamieszki w kraju, podejrzliwie patrząc na tajemnicze karawany, dążące na południe. Wiedzą oni, że tam, wśród dzikich i ciemnych koczowniczych szczepów, różni fałszywi prorocy i samozwańcy wodzowie knują coś, narażając na niebezpieczeństwo łatwowiernych a bitnych prostaków.

Abdallah nie czuł się bezpiecznie na Tellu, więc parł, ile tchu wiebłodom starczyło, przez ten spokojny, lubiący ład i sprawiedliwość kraj. Postanowił wypocząć wśród ruin starego, rzymskiego grodu. Obawiał się jednak, że kilku Francuzów, pracujących zwykle nad wykopaliskami Timgadu, już przybyło na roboty. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy wysłany na zwiady poganiacz doniósł mu, że znalazł w mieście jednego tylko stróża.

Abdallah wiedział, że człowiek ten, otrzymawszy od niego pięćdziesiąt franków, będzie milczał, jak ryba, więc śmiało już skierował swych ludzi ku ruinom.

Wypocząwszy i popasłszy zwierzęta, ruszył dalej. Prowadził wielbłądy nie zwykłą jednak drogą — na Biskrę, skąd kolej biegła aż do Tugurtu; skierował karawanę przez góry Oresu, do drobnej oazy Negriny, skąd pozostawał tylko jeden dzień marszu do słonego jeziora Gharsa. Ktoś miał spotkać go tam, zapłacić za dostawę i zabrać skrzynie z przemyconą bronią niemiecką. Ciężkie to było przejście przez góry, najeżone kilkoma wysokimi na dwa i więcej tysięcy metrów szczytami Czelia i Kaf Mahmell. Idące równolegle łańcuchy Oresu przypominały fałdy zwiniętej tkaniny. Na stromych zboczach gór i na ich szczytach, niedostępnych dla wroga, widniały wioski, a nad niemi — na najwyższych skałach zbudowane przez górali szczepu Czauja wznosiły się tak zwane Gela a. Były to śpiczrze, pełne zapasowego zboża na wypadek nieurodzaju lub wojny, lecz budowle te o grubych murach i potężnych basztach obronnych mogły wytrzymać długie nawet oblężenie.

W głębokich dolinach, z biegnącymi na ich dnie potokami, górale uprawiali jęczmień, proso i boby, na lesistych zaś uskokach gór paśli stada owiec i kóz. Niedawno jeszcze Czauja nie chcieli uznać władzy Francuzów i stoczyli kilka rozpaczliwych bitew z wojskami generałów Solomona i Bedau, lecz z biegiem czasu pogodzili się ze swym losem, a cisza i spokój zapanowały w wąwozach surowego Oresu. Abdallah nie mógł popasać tu długo i prowadził karawanę bocznymi drogami, unikając lud-

niejszych osad, gdzie mieściły się biura urzędników francuskich, a nieraz nawet — patrole wojskowe.

Wyszedłszy na równinę, westchnął z ulgą. Przed oczami jego biegła i ginęła woddali pustynia; tam i sam połyskiwały wysychające „szott’y” — słone jeziora, otoczone rozległymi bagnami.

Na ósmy dzień ujrzał na widnokręgu pierzaste czuby palm.

Karawana zbliżała się do małej oazy Negriny. Zaledwie dziesięć tysięcy palm daktylowych żywiło kilkanaście rodzin Berberów. Trudnili się oni przewożeniem daktyli z sąsiednich oaz do Biskry, skąd hurtownicy ładowali je do wagonów i wysyłali do portów Algieru lub Philippeville. Mieszkańcy Negriny odznaczali się odwagą, przebiegłością i chciwością. Za dobrą zapłatę mogli się podjąć każdej roboty. Napadali na karawany, robili wyprawy na małe osady, urządzali zasadzki na przewożoną pocztę i samotnych podróżnych.

To też, gdy tylko spostrzegli zbliżające się wielbłądy Abdallaha, otoczyli karawanę z groźnymi okrzykami, potrząsając długimi arabskimi karabinami i chwytając się za główne noży. Abdallah przeraził się nawet, nie spodziewając się takiego przyjęcia, lecz jeden z Berberów podszedł do niego i szepnął:

— Bierz pieniądze za przyprowadzenie karawany, milcz i uciekaj! Twój ludzkie będą myśleli, żeś został napadnięty i ograbiony... My dostarczymy

skrzynie na południe... prorokowi... Alejkum salam, bracie!

Abdallah, zacisnąwszy w rękę sporą paczkę banknotów, uderzył wielbłąda piętami i szybko odjechał.

Odnalazłszy wydeptaną przez stada, wyraźnie widoczną na piargach ścieżkę, jechał szybko, aby jak najprędzej dotrzeć do rozbiegających się w różne strony wąwozów Sidi Salaha. Miał zamiar zacząć się tam i bacznie rozejrzeć po okolicy. Chciał przekonać się, co uczynią mieszkańcy Negriny z ładunkiem karawany i poganiaczami. Ukrywszy wielbłąda w wąwozie z rosnącymi po jego zboczach nędznymi krzaczkami tamarysków, wdrapał się na niewysoki pagórek i, położywszy się na nim, oglądał żółtą, falistą równinę, usianą odłamkami skał.

Wkrótce spostrzegł swoich poganiaczy, pędzących idące luzem wielbłądy.

Widocznie Arabowie nie doznali żadnej krzywdy, gdyż do uszu szeika dobiegły odgłosy ich śpiewu i wesołych okrzyków. W godzinę później od strony oazy wynurzył się długi sznur ładowanych wielbłądów, na chwilę zamajaczył na niewysokim wzniesieniu pustyni i zniknął za horyzontem.

— Aha! — pomyślał Abdallah. — Berberowie ruszyli ze skrzyniami na południe.

Uspokoił się, przeliczył banknoty i, wyprowadziwszy swego garbatego wierzchowca, już bez obawy ruszył ku widniejącym woddali minaretom osady Sidi-Okba. Przejechał przez tę małą oazę, zatłocz-

na handlującym ludem i pielgrzymami, odwiedzającymi grobowiec wielkiego wodza, który podbił niegdyś Afrykę i zatwierdził w niej panowanie potomków Proroka Mahometa.

Muezzin wszedł właśnie na balkonik minaretu i nawoływał do modlitwy, bo słońce już zapadać zaczynało za zębatymi grzebieniami gór Ziban. Abdallah kazał wielbładowi uklęknąć i, zeszedłszy na ziemię, z małego naczynka polał sobie wodę na ręce i stopy. Rozścieliwszy mały kobierzec, stanął na nim, zwrócony twarzą ku słońcu, z rękami złożonymi do modlitwy. Arab powtarzał za sługą kościelnym imiona Allaha, wyciągał ramiona ku niebu, klękał i głową dotykał ziemi.

— Allahu — Ojcie, Allahu — Sędzio! Allahu — Królu Królów, Allahu... — mruczał, kiwając się z przymkniętymi oczyma.

Po modlitwie ruszył dalej. Już zmrok zapadał na dobre, gdy dojechał do brodu płytkiej rzeki. Na przeciwległym jej brzegu stała czarna ściana palm, a oświetlone okna domów pociągały ku sobie zdżozonego człowieka.

— Oaza Biskra! — westchnął z ulgą Arab i przebrnął rzekę.

Dobiegł go gwar dużej osady, prawie miasta, jakim można nazwać tę oazę, porykiwanie samochodów i dźwięki orkiestry wojskowej.

Abdallah miał tu licznych znajomych. Skierował więc wielbłąda ulicą, przechodzącą obok pięknie urządzonego parku Landona, gdzie zgromadzono

wszystkie gatunki drzew, rosnących w Afryce, i wyjechał na szosę. Minąwszy malowniczy hotel „Transatlantik”, popędził ku jednej z ośmiu wiosek, stanowiących „starą Biskrę”, położoną tuż obok francuskiego miasteczka, tłumnie odwiedzanego przez turystów z Europy i Ameryki.

Dojechawszy do wioski Bab-Fatah, odnalazł zagrodę zaprzyjaźnionego Araba, właściciela czterdziestu tysięcy palm daktylowych i zapukał do bramy glinianego muru.

Na spotkanie mu wyszedł sam gospodarz. Zaczęli się ścisnąć, powtarzając uświęcone obyczajem pozdrowienia w imię Allaha.

*W DŻUNGLI.  
(Z AFRYKI ŚRODKOWEJ).*

Noro Matasa był Murzynem szczepu Banga. Był to, zapewne, najciemniejszy i najbiedniejszy szczep, odcięty od całego świata nieprzebytą dżunglą, kryjącą w swoich ostępach rozległe, głębokie trzęsawiska, zarosłe trzcinami bambusowemi i mangrowemi drzewami o zwisających korzeniach napowietrznych. Na niedużej polanie, ze wszystkich stron otoczonej dżunglą, stała mała, kilka chatzaledwie licząca wioska murzyńska. Rządzi w niej czarownik — stary, opryskliwy, milczący człowiek o jednym oku.

Dlaczego nazywano go „czarownikiem”?

Zapewne dlatego, że nosił na głowie wysoki kołpak z kory, ozdobiony skórą jadowitej żmiji — naja, czyli okularnika afrykańskiego, a także wstążkami, dzwonkami i pękami suchych włókien rafji. Bali się go wszyscy, a on wiedział o tem i przerażał swych rodaków coraz bardziej, przepowiadając im przyszłość, udając, że nocami rozmawia ze złemi duchami i cieniami nieboszczyków. Stary

Loba (tak się nazywał czarownik) znał się jednak na różnych ziołach i właściwościach wszystkich roślin, więc leczył sąsiadów. Choroby zaś często gnębiły biednych murzynów.

Chmary moskitów gryzły ich i zarażały złośliwą malarją, baki tze-tze powodowały szeregienie się żółtej febry, od której każdego roku wymierały dziesiątki mieszkańców wioski Lulangi; w przepływającej rzece Lopori roilo się od cienkich, jak włos, robaków; przegryzały one skórę kąpiących się ludzi i drażyły sobie przejścia w ich ciele, od czego tworzyły się ohydne wrzody, prawie zawsze śmiertelne dla dzieci; w studni zaś miały siedzibę w wodzie niewidzialne żyjątka, zarażające murzynów krwawą ropną biegunką, tak zwaną „dysenterją tropikalną”. Zdarzały się też i inne wypadki, gdy pomoc jednemu z Lobów stawała się niezbędną. Naprzykład, gdy kogoś z mieszkańców Lulangi ugryzła jadowita żmija, lub trująca czerwona stonoga, zakradająca się nocami do trzciniowych, oblepionych gliną, stożkowatych chat tubylców, albo też mające swe nory w wilgotnej ziemi, brunatne, kosmate pająki.

Czarownik dawał wtedy chorym jakieś gorzkie zioła, robił okłady z ziaren i kory tylko jemu jednemu znanych roślin i nieraz ratował tem swych rodaków od niechybnej śmierci lub kalectwa.

To też murzyni bali się go, lecz szanowali i bez sprzeciwu pracowali dla niego i znosili mu podarki.

Loba był jednak człowiekiem zupełnie ciemnym i nieraz doradzał sąsiadom rzeczy straszne i zbrodnicze.

Na równiku, gdzie mieszkali czarni Banga, w kwietniu już zaczynają się ulewę, trwające aż do września. Od tych obfitych deszczów zależy życie i dobrobyt murzynów, bo właśnie w tym okresie dojrzewają na ich polach proso, kukurydza, boby, groch, manjoka, orzechy ziemne i słodkie ziemniaki — pataty, a w dżungli dzikie owoce — banany, mangi, rosnące na drzewach melony — papaje, trzcina cukrowa, kokosy, orzechy babów i palmy olejnej oraz inne, zupełnie w Europie nieznane gatunki roślin jadalnych.

Ulewę tropikalne podtrzymywały też obfitość ryb w rzece. Murzyni wrzucali do jej toni wędziece trzcinowe i wyciągali duże ryby o kształtach i nazwach nigdy niewidzianych i niesłyszanych w krajach białych ludzi.

Murzyni uważają te zbawcze ulewę za swego boga, modlą się do niego i składają mu ofiary w postaci miseczek z mąką, cukrem lub kaszą, a gdy ulewę nie spadną w swoim czasie, lub gdy zbyt szybko się zaciągną, zalewając i niszcząc pola i chaty, albo gdy zdarzą się straszliwe burze, — murzyni z rozpaczą spoglądają na powleczone czarnymi chmurami niebo i, wyciągając ku niemu ramiona, wołają jękliwymi głosami:

— Dobry boże Tenga, zlituj się nad nami!

W wypadkach, gdy błagania te nie skutkowały, występował czarownik. Bijąc w bęben, grając na

fujarce i mrucząc zaklęcia, chodził dokoła wsi i po polach, czarując. Kiedy zaś i to nie pomagało, wtedy Loba gromadził koło siebie zrozpaczonych i wylekłych murzynów i tak do nich przemawiał.

— Gdym rozmawiał dziś z Tengą, bóg kazał mi złożyć sobie ofiarę krwil...

Oznaczało to, że bóstwo żądało ofiary ludzkiej. Murzyni milczeli w przerażeniu, a czarownik wskazywał im, kogo mają zabić. Krew ofiary wylewano na ziemię pod tysiącletnim baobabem Tengi, a mięso zjadał Loba i zabobonni, ciemni murzyni. Z takiej to przyczyny murzyni szczepu Banga stawali się w pewnych okresach *ludożercami*, chociaż poza tem był to ludek niezmiernie łagodny, uczciwy i dobroduszny.

Chata Noro Matasy stała w środku wioski.

Noro słynął, jako człowiek poważny, rozsądny i pracowity. W młodości mieszkał on parę lat w Libreville, portowem miasteczku francuskiego Konga. Pracował tam na farmie pewnego kolonisty, zakładającego plantację ryżu i bawełny. Młody murzyn przyglądał się pracy białych ludzi i coś niecoś przejął od nich. W każdym razie tyle, że nauczył rodaków z Lulangi siał i uprawiać ryż i trzebić dżunglę, aby zwiększyć obszar uprawnej ziemi.

Rolnictwo murzyńskie wymaga stokroć bardziej ciężkiej i wytężonej pracy, niż europejskie. Mamy u siebie pod dostatkiem bezleśnych równin, gdzie się zielenią łąny zboża, w Afryce — należy najprzód

wyrąbać dżunglę, zniszczyć tysiące olbrzymów leśnych, wykarczować pnie i korzenie, a po okresie ulew walczyć z pręciami z ziemi pędami krzaków i chwastów.

Noro Matasa jeszcze jednej rzeczy nauczył mieszkańców Lulangi, za co uważano go za drugą po czarowniku osobę w wiosce.

Murzyni nie znają się na oszczędności, nie są bynajmniej przezorni, nie myślą o dniu jutrzejszym i o tak zwanej „czarnej godzinie”.

Wesoły i niebywale beztroski lud, lubiący towarzystwo i zabawy, wnet po zbiorach urządzi wspólne uczty i wkrótce pozostaje bez zapasów żywności. Rozpoczyna się wtedy ciężki czas zdobywania sobie pokarmu. Młodzież, a nawet dzieci udają się do dżungli i na nagie zbocza gór, gdzie zastawiają sidła na kuropatwy, dzikie perliczki i dropie, lub z łuków strzelają do małp. Dorośli łowią ryby i urządzają zbiorowe polowania na małpy, antylopy, dzikie bawoły, strzelając zatrutymi strzałami nawet do hipopotamów, lampartów i innych drapieżników. Murzyni są zupełnie niewybredni w jedzeniu i używają do przygotowania stawy mięso małp, hien i węży — pytonów. Ponieważ jednak zdobycz swoją niemal odrazu zjadają, więc głód bywa częstym i strasliwym gościem w wioskach murzyńskich, a czasem przybiera takie rozmiary, że rodzice kazać dzieciom ruszać do dżungli, pozostawiając je własnemu losowi i pomysłowości.

Widząc to wszystko i pamiętając, jak w takich

wypadkach postępują biali ludzie, Noro nauczył sąsiadów budować spichrze i spiżarnie dla gromadzenia zapasów żywności. Murzyni mieli z tem narazie dużo kłopotów i niespodzianek. Gdy spiżarnie zostały zbudowane, do ukrytych w nich zapasów dobrali się rabusie. Były to termity — małe, do mrówek podobne, ślepe owady, wznoszące wysokie na dwa metry kopce; w takich dziwacznych budowlach pędzą życie miliony tych dziwnych, mądrych istotek, nie opuszczając ich nigdy, ponieważ giną od powiewu świeżego powietrza i upału, dosięgającego pod równikiem niemal 60 stopni Celsjusza.

Nikt nigdy nie widzi termitów, bo gnieźdzą się one w swych kopcach, pod ziemią lub w wydrążonych pniach. Zwęszywszy zdobycz, owady budują sobie kryte przejścia od gniazda, a wtedy można zobaczyć ciągnący się po ścianie domu lub po drzewie jakgdyby sznur, ulepiony z gliny. Jest to galerja z ziemi, przerobionej przez termity; we wnętrzu jej suną tysiące i miliony tych ślepych, żarłocznych owadów. One to właśnie zwąchały złożone w spichrzach ziarno, a w spiżarniach owoce, suszone ryby i mięso, wtargnęły tam i pożarły doszczętnie.

Długo się głowił Noro, aż się domyślił, jak się należy zabezpieczyć przed termitami. Od tego czasu murzyni budowali swoje spichrze na wysokich palach, okopanych dokoła i zalewanych wodą.

\*

\*

Pewnego roku na Lułangę spadły nieszczęścia.

W Afryce Środkowej nie mogą żyć ani krowy, ani konie, gdyż giną od jadu muchy tze-tze i innych bąków. Trochę owiec, kilka kóz i kury stanowią cały żywy inwentarz zagrody murzyńskiej. Temi zwierzętami domowymi opiekują się kobiety, mężczyźni zaś mają na swej pieczy jedyne zwierzę pociągowe — osiołki — małe, lecz silne.

Otóż pewnego roku z dżungli nad rzeką Ubanghi zabrnęła tu para lwów. Śmiałe, królewskie dra pieżniki porwały murzynom wszystkie zwierzęta i poszły sobie dalej. Była to niezmiernie ciężka strata. Od tego czasu czarni rolnicy musieli orać ziemię, własnymi siłami ciągnąc pług. Na takie nieszczęście nic nie pomogły zaklęcia jednookiego czarownika i mieszkańcy Lulangi upadali na siłach, aby zdążyć na czas z uprawą pól. Gdy jednak zebrali cały urodzaj ryżu, prosa i kukurydzy, nawiedziła ich nowa klęska.

Z głębi dżungli przywędrowały nad Lopori niezliczone, zwarte szeregi mrówek—wojowników, nazywanych w Afryce *manjan*. Miljony tych owadów rzuciło się na wieś. Większa część mieszkańców zdołała ująć przed tym napadem, kryjąc się w górach, gdy zaś po kilku dniach murzyni powrócili do domów, oczom ich przedstawił się straszny widok. Na ulicy wioski i w niektórych chatach pozostały tylko kości tych, którzy nie zdążyli zbiec: wszystkie zapasy żywności, drób i zwierzęta znikły, pożarte przez mrówki. Zginął wtedy stary czarownik, a z nim razem dwunastu murzynów, dwie kobiety i kil-

koro małych dzieci, w popłochu zapomnianych w domach.

Noro Matasa, zabrawszy żonę i dwuletniego synka Fanga, ruszył w świat szukać lepszej doli.

\* \* \*

Wyszedłszy na drogę, biegnącą brzegiem dużej rzeki Kongo, którą w ubiegłym stuleciu odkrył i szczegółowo opisał znakomity podróżnik angielski, Henryk Morton Stanley, rodzina murzyńska dotarła do osady Bolobo, stojącej tuż nad rzeką. Belgowie, do których należy kraj środkowego Konga, stawiali tu wtedy pierwsze tartaki, zamierzając rąbać dżunglę i przerabiać drzewa mahoniowe, cytrynowe i palmowe na deski dla wywozu zagranicę. Po Kongo pływały już statki, dostarczające maszyn i towarów z portów Boma i Matadi, do których dochodziły okręty oceaniczne.

Noro rozejrzał się po osadzie, wypytał czarnych robotników o wszystko, co go interesowało, i wynajął się do pewnego plantatora belgijskiego. W kilka dni później murzyn nasz wraz z rodziną został odwieziony do dżungli.

Tu pod kierunkiem białych ludzi Noro trzebił dżunglę, a szło mu to znacznie łatwiej niż w domu, bo inne, skuteczniejsze stosowano tu sposoby. Nie rąbano tu potwornych drzew i nie podpiłowywano ich pni, lecz drążono dłotem, lub świdrem głęboki otwór, zakładano nabój wybuchowy i rozsadzano drzewo. Gdy upadło, innemi nabojami rozrywano

go na szcząpy, polewano naftą i podpalano. Nikt tu nie pocił się nad karczowaniem pozostałych pni. Postępowano zupełnie inaczej. Wiercono w nich głębokie kanały zalewano jakimś płynem i podpalano, najbardziej zaś wilgotne i odporne resztki drzew wysadzano w powietrze dynamitem.

W ten to sposób właściciel plantacji, belgijski agronom, pan Roman de-Voss w ciągu jednego roku przygotował dla przyszłej plantacji znaczny obszar gruntu, wyrwanego dziewiczej dżungli.

Przed nastaniem pory ulewnej Belg zaczął sadzić równymi rzędami sprowadzone z wysp Antylskich i z Brazylii drzewka kakao i kawy, a pomiędzy nimi Noro wraz z innymi murzynami wrzucał do porobionych w ziemi otworów ziarnka tych roślin.

Przez trzy lata pracował Matasa na nowopowstałej plantacji, a gdy ujrzał pierwszy, obfity urodzaj, chodził głęboko zamyślony. Przepracowawszy jeszcze trzy lata u pana de - Vossa, Noro powziął niezłomne postanowienie. Umyty i odświeżnie ubrany przyszedł do biura i poprosił woźnego, aby zameldował go plantatorowi.

Wkrótce wchodził już do gabinetu swego gospodarza.

— A a, Noro Matasa! — zawołał Belg. — Co cię tu sprowadza, przyjacielu!

Murzyn, wyprostowany i poważny, zaczął objaśniać łamaną francuszczyzną.

— Massa zna Noro, — Noro pracuje od założenia plantacji, Noro dobrze, uczciwie pracuje...

— Jestem zadowolony z ciebie! — potwierdził zdumiony nieco pan de-Voss.

— Massa wie, że każdy człowiek chce żyć jak najlepiej, mieć swój dom i być spokojnym o rodzinę... Massa — dobry i mądry człowiek! Massa nigdy nie uderzył czarnego robotnika, a gdy dozorca zbił starego Foro-Noga, Massa wydalil dozorcę...

— No, i cóż z tego? — spytał Belg.

— Noro przyszedł do dobrego Massa prosić o pożyczkę. Potrzebuję dużo, dużo pieniędzy, bo chcę założyć plantację kawy i kakao koło mojej wioski Lulangi nad Lopori...

Belg, jeszcze bardziej zdumiony, podniósł ramiona wysoko i patrzył na murzyna z lekko drwiącym uśmiechem.

Nie mieszało to jednak Noro Matasy, postąpił krok naprzód i, stanawszy przed biurkiem plantatora, pochylił się ku niemu i jął szeptać gorąco.

Co chwila padały słowa: „mały Fang”, „krzywda czarnych ludzi”, „nieszczęście”, „ciemnota”, „czarownik”, „dobra gleba” i inne, aż wreszcie murzyn znów się wyprostował i powiedział twardym, stanowczym głosem:

— Massa da pieniądze, a Noro zwróci wszystko do ostatniego franka, lub odsłuży!...

Belg innym już wzrokiem patrzył teraz na czarnego robotnika; pomyślawszy, wziął ołówek i zaczął liczyć coś i kombinować.

Trąc sobie czoło, mruknął wkońcu:

— Przyjdź tu jutro — obliczę wszystko dokładnie i dam odpowiedź!

— Dziękuję, m a s s a! — odpowiedział Noro i, ukłoniwszy się, wyszedł spokojnym krokiem.

\* \* \*

Po upływie ośmnastu lat niktby nie poznał nędznej Lulangi, małej wioski murzyńskiej nad brzegiem mętnej Lopori.

Stała tu osada, ze stu dużych domów złożona. Z brzegu przeglądała się w rzece malownicza willa, a obok ciągnęły się kryte blachą długie składy towarowe. Czarni robotnicy wynosili z nich worki z kawą i kakao i z drewnianego pomostu zrzucali je na krypę, uwiązaną do dymiącego holownika. Na dziobie statku i na jutowych workach widniał napis:

„Noro Matasa, Syn i Spółka. Lulanga, Kongo”.

Z willi wyszedł wysoki, poważny murzyn w białym stroju europejskim i słomkowym kapeluszu.

— Czy prędko skończycie ładowanie? — spytał robotników.

— Znosimy ostatnią partję, massa Noro! — odpowiedzieli chórem, a czarny sz t o r m a n, salutując murzynowi, dodał:

— Za pół godziny możemy ruszać. Kabina dla pana jest już przygotowana!

— Doskonale! — zawołał Noro Matasa i poszedł do domu, spostrzegłszy, że żona daje mu znaki ręką.

W pół godziny potem Noro chodził po pokładzie sapiącego holownika i przyglądał się brzegom, wzdłuż których płynął statek, ciągnąc za sobą krypę.

— Patrz - no, sztormanie, — zawołał murzyn, — patrz! Pamiętam te okolice od urodzenia. Stała tu nieprzebyta dżungla, a teraz cofnęła się aż hen! do podnóży gór. Myśmy to uczynili! My! Nie znajdziesz już tu biednych, z głodu umierających czarnych ludzi, ani czarowników, oszukujących lud i popychających go do zbrodni. Teraz wszyscy nasi Banga pracują na własnych plantacjach i spokojnie patrzą w przyszłość!

— Tyś to uczynił, paniel — odparł sztorman.

— Nie! zawdzięczamy to Bogu, wiedzy białych ludzi i dobroci pana de-Voss, który pożyczył mi niegdyś pieniądze na pierwszą plantację na Loporol — szepnął Noro Matasa, zapatrzony w dal.

Na trzeci dzień holownik dopłynął do Matadi, gdzie przywieziony ładunek przeniesiono na duży parowiec, wypływający do Antwerpji.

Zakończywszy wszystkie czynności w biurze transportowem i komorze celnej, Noro Matasa wyszedł na przystań i spytał przechodzącego urzędnika portowego:

— Proszę mi powiedzieć, kiedy przybywa parowiec „Król Albert“?

— Spodziewamy się go lada godzina, panie Matasa! Stacja morska w Loango już dawno sygnalizowała przejście „Króla Alberta“ — objaśniał urzędnik, lecz

nie skończył, gdy dzwon, umieszczony na ratuszu wydzwonił sygnał przybycia okrętu.

Korytem Konga, szerokiem na kilka kilometrów przy ujściu, powolnie wychodząc z poza zakrętu rzeki, sunął duży parowiec. Z trzech jego kominów buchały czarne kłęby dymu, na maszcie powiewała bandera belgijska. Statek ryknął syreną i jeszcze bardziej zwolnił biegu, kierując się ku palom przystani.

Minął jednak dobry kwadrans, zanim czarni ładownicy pochwycili rzucony im z pokładu cienki sznur, uwiązany do cumy. Pieniąc mętną wodę potężnymi uderzeniami śruby, „Król Albert“ obrócił się dziobem do Oceanu i, płynąc rufą naprzód, burtą dotknął palów długiego pomostu przystani.

Spuszczono chodniki i majtkowie zbiegli na pomost, pozdrawiając znajomych i przyjaciół.

Po chwili od strony rufy tragarze zaczęli wynosić skrzynie i worki, innym zaś chodnikiem popłynął na przystań potok ludzki. Przybywający pasażerowie z walizkami w ręku, oddawali bilety stojącym przy wyjściu oficerom i szli do szopy, gdzie mieściła się komora celna i urząd paszportowy.

Noro Matasa stał na uboczu, płonącem wzrokiem wpatrzony w tłum, schodzący z parowca.

Wreszcie podniósł obie ręce do góry i krzyknął radośnie:

— Fang, mój miły Fang! Bywaj mi, bywaj!

Wiotki, młody murzyn, błyskając oczyma i białą zębów, roztrącał publiczność i szybko zbiegał chwiejącym się chodnikiem.

— Ojcie, drogi ojcie! — wołał zdaleka.

Złączyli się w mocnym uścisku, nie mogąc ze wzruszenia znaleźć słów powitania.

Szeptali do siebie:

— Fangul

— Ojcie!

Noro uspokoił się pierwszy i, przez łzy patrząc na syna, spytał go stłumionym głosem:

— Cóż powiesz mi, kochany chłopcze?...

Fang wysoko podniósł głowę i powiedział z dumą:

— Przywożę tobie, ojcie, i mamie mój dyplom lekarski! Nauka ukończona! Jestem człowiekiem wykształconym, jak Belg, Francuz, lub Anglik. Z wdzięczam to tobie, ojcie!

Noro milczał przez długą chwilę, a potem jakimś drżącym, nieśmiałym głosem rzucił, nie patrząc w rozradowane oczy syna:

— Cały świat stoi teraz otworem przed tobą, Fangu...

Młodzieniec objął ojca i z siłą przycisnął go do piersi, mówiąc:

— Przybyłem tu, ojcie, aby pracować wśród moich czarnych braci! Będę leczył ich, oświecał i bronił, jeżeli ktoś się waży skrzywdzić ich!

Tyś mnie tego nauczył własnem życiem! Syn twój  
pójdzie w ślady ojca — szlachetnego ojca!

Noro Matasa mocniej przytulił do siebie głowę  
syna i coś szeptał ciemnymi wargami aż wreszcie,  
uspokoiwszy się nieco, zawołał radosnym głosem:

— Jakżeż ucieszy się biedne matczysko... no...  
i wszyscy nasi poczciwi Banga, oczekujący ciebie!

*CIEŻKA DROGA.  
(Z AFRYKI POŁUDNIOWEJ).*

Roman Skalski stał oparty o barjerę pokładu statku angielskiego, twardym wzrokiem patrząc na znikający woddali Przylądek Dobrej Nadziei i płaskie szczyty Gór Stołowych.

Marynarze wciągali na maszt banderę brytyjską i wymachiwali czapkami.

Było to pożegnanie łądu, ponieważ parowiec przepływał w pobliżu latarni morskiej, ostatniej przed Cape Town, skąd Skalski wyruszył do Europy.

On nie żegnał tu nikogo i niczego nie żałował.

Oddawszy temu obcemu krajowi dwadzieścia pięć lat życia i ogromny wysiłek w ciężkiej pracy, uważał, że spłacił wszelkie długi i nie poczuwał się do wdzięczności za te kilkanaście tysięcy złotych, na jakie wystawiono mu czek w banku.

Gdy brzegi Afryki znikły i naokoło rozparła się pustynia Atlantyku, Skalski usiadł na trzcinowym krześle i przymknął oczy.

Nie drzemał jednak. Myśl jego pracowała w jakimś niezwykłym pośpiechu.

Przypomniał sobie długie lata, spędzone na terytorjum tak zwanej Unji Południowej Afryki — posiadłości brytyjskich, do których należą: kraj Przyłądku Dobrej Nadziei, Natal, Transwaal i Oranje.

Cóż go aż tu zagnało?

Złożyły się na to przyczyny, zwykle w owych smutnych czasach.

Roman Skalski, syn gospodarza wiejskiego z pod Chełmna, mając lat siedemnaście, nie mógł ścierpieć brutalnego zachowania się urzędnika pruskiego i, nie namyślając się długo, wałnął go pięścią w twarz. Musiał uciekać czem prędzej. Dostał się do Anglii. Przepracowawszy dwa miesiące na kopalniach węgla, dowiedział się, że jakieś biuro emigracyjne werbuje rolników dla Południowej Afryki.

Przybywszy do Cape Townu, odrazu znalazł dla siebie pracę pastucha na fermie niejakiego Zudwaasta, Boera. Człowiek ten na pograniczu pustyni Kalahari założył hodowlę kóz z angorskich i strusi. Skalski, uzbrojony w karabin i lasso do chwytania ptaków, nie schodził z siodła. Każdej chwili gotów był do obrony stada. Nieraz się zdarzało, że jakaś zwarjowana banda murzynów—Buszmenów czyniła nocne napady, aby powyrywać strusiom drogocenne pióra i zniknąć w piaskach i głębokich wąwozach pustyni. W pewnej potyczce zabłąkany tu polski chłop dostał postrzał w piersi, długo potem chorował, lecz wylizał się jednak. Leżąc w szpitalu, nie wiedział, że Boerowi padły niemal wszystkie kozy, dostawszy śliniaka. Zudwaast zban-

krutował i Skalski nigdy go już nie spotkał. Schorowany i słaby, bo trapiła go febra, której się nabawił w gorącym klimacie na północy kraju, przerzucał się z miasta do miasta. Szukał możliwej, niezbyt uciążliwej pracy w Cape Townie, Durbanie i Pretorji, aż, machnąwszy ręką na swoje zdrowie, stał się znów górnikiem.

Pracował w kopalni węgla w okolicach Johannesburga, w przedsiębiorstwie, mającem swoje szyby i fabryki w różnych częściach kraju. Dyrekcja przerzucała robotników z miejsca na miejsce i ta okoliczność dała możność Skalskiemu poznać Unję doskonale. Przebywał długo na zachodzie — w górach Omatako, gdzie wydobywano rudę miedzaną i przetapiano ją na mosiądz, wywożony do Anglii, na południu — w Wielkich Górach Czarnych (Groote Swarteborgen) pracował w głębokich szybach węglowych; spróbował wreszcie w Smoczycach Górach prażyć się przy elektrycznych piecach, w których przerabiano rudę na srebro, aż powrócił znów do Johannesburga.

Przywiózł tu ze sobą pewne doświadczenie.

Zrozumiał ostatecznie, że praca jego w Afryce Południowej może go wyżywić, lecz nie da mu nigdy możliwości powrotu do ojczyzny. Umierać zaś w Afryce nie miał żadnego zamiaru, więc rozglądał się za lepszym i pewniejszym zarobkiem.

Wiedział dokładnie, gdzie i co się produkuje w tym kraju i jakie tam istnieją warunki pracy.

Anglicy i Boerowie, korzystając z ciemnoty Kafirów, Hotentotów i Buszmenów, przyjmowali na farmy i plantacje kukurydzy, pszenicy, owsa, bawełny, ziemniaków, tytoniu, wina, kawy, herbaty i trzciny cukrowej wyłącznie tych czarnych robotników, wyzyskując ich i niezmiernie nisko oceniając ich pracę.

To samo niemal działo się w ranczach, gdzie uprawiano hodowlę bydła rogatego, owiec i kóz. Skalski nie szukał tam zajęcia, bo nie było zyskowne; zresztą utkwiała mu na zawsze w pamięci jego karjera pastucha. Niby na jawie widział przed sobą biedne strusie, oskubane docna przez niegodziwych Buszmenów z Kalahari.

Słyszał, że najlepszy zarobek znaleźć można na kopalniach złota, koło Johannesburga, i diamentów — w okolicach Kimberleyu. Tam jednak pracowali przeważnie przywiezieni z Azji Hindusi, z którymi obchodzono się jak z niewolnikami, i nieznaczna zaledwie ilość ludzi białych. Ci znowu mieli tak dobry zarobek, że nigdy nie porzucali pracy. Roman Skalski próżno więc usiłował dostać się na te kopalnie.

Tymczasem poważna rana, choć już zagojona, i co jakiś czas napadająca go febra tropikalna dawały mu się we znaki. Zdrowie Polaka było poważnie nadwątlone. Lekarze, badający go co miesiąc, kiwali głowami i mówili do siebie jakieś niezrozumiałe słowa.

Skalski z wyrazu ich twarzy i z tonu głosu wywnioskował jednak, że jest z nim źle.

Po kilku latach pracy na kopalniach podziękował dyrekcji za służbę i, mając trochę uciulanego grosza, postanowił za wszelką cenę powrócić do Europy.

Dotarł koleją do Cape Townu i tu chodził po biurach okrętowych, chcąc wstąpić do załogi parowca, jako majtek lub palacz, aby za darmo dopłynąć do portu europejskiego.

Podczas tej włóczęgi poznał pewnego marynarza Irlandczyka i ten opowiedział mu, że wybiera się do Zatoki Wielorybów, położonej na zachodnim wybrzeżu Afryki, a odległej o 3—4 dni drogi morskiej od Przylądka Dobrej Nadziei.

— Jedźcie tam ze mną, kamraciel — zaproponował Irlandczyk. — Znajdzie się tam praca u norweskich sztormanów, trudniących się połowem wielorybów!

Skalski po długim namyśle postanowił spróbować szczęścia i po tygodniu pracował już na brzegu Atlantyku w zakładach, gdzie „oprawiano“ zdobyte potwory morskie.

Małe, lecz szybkie i zwinne kutry wypływały na ocean i szukały zdobyczy. Ujrawszy wyrzucone przez wieloryby fontanny wody, pędziły ku nim, ścigały, a stojący na dziobie „kanonier“ strzelał do nich z armaty, nabitej zamiast zwykłego pocisku — *h a r p u n e m*. Przypominał on krótki oszczep, albo używaną do połowu ryb — ość. Była to gruba, żelazna sztaba, zakończona zadzierzystem ostrzem i przy wylocie z armaty ciągnąca za sobą mocną linkę stalową.

Trafiony harpunem wieloryb zdychał, a holowniki dostarczały zdobycz ku przystani przedsiębiorstwa.

Kadłub upolowanego ssaka wciągano na pomost i robotnicy obdzierali go ze skóry, poszukiwanej przez fabryki nieprzemakalnego obuwia dla majtków; specjalne maszyny usuwały z cielska grubą warstwę tłuszczu, przerabianego potem na smary, świece i mydło. Po wycięciu z paszczy rogowych fiszbinów — resztę kadłuba wraz z wnętrznościami i kośćmi przewożono do suszarni, poczem przechodziła przez walce i zamieniała się na drogi nawóz sztuczny, używany przez ogrodników.

W Zatoce Wielorybów Skalski pozostawał trzy lata i znakomicie wzmocnił się na zdrowiu. Chociaż w dzień panowały tu straszliwe podzwrotnikowe upały, lecz z oceanu zalaływał zawsze świeży podmuch, a wieczory i noce, o znacznie niższej niż w innych miejscach kolonji temperaturze, orzeźwiały strudzonych ludzi.

Pewnego razu zdarzył się wypadek, zmieniający do gruntu los polskiego robotnika.

Angielski komisarz rządowy, przybyły do fabryki norweskiej, przyglądał się wrócej tu pracy; właśnie opraviano aż trzy wieloryby naraz.

Parowy dźwig, podnoszący jeden kadłub, zgrzytnął nagle i na chwilę się zatrzymał.

Pracujący wpobliżu Skalski posłyszał ten dźwięk. Wiedział, co to oznacza, bo kilka już razy był obecny przy podobnych wypadkach. Taki zgrzyt świadczył,

iż łańcuch dźwiga ześlizgnął się z bloków i może pęknąć, z rozmachem uderzając o ziemię.

Robotnik szybko się obejrzał i spostrzegł natychmiast komisarza, stojącego tuż pod dźwigiem.

Skalski podbiegł i, szarpnąwszy Anglika za ramię, odciągnął go na stronę. W tej samej chwili ogniwo łańcucha się zerwało, a koniec jego ze świstem i brzękiem smagnął deski pomostu.

Anglik rzucił się do swego zbawcy i, potrząsając mu ręce, dziękował gorąco.

Ten to właśnie komisarz wyrobił Skalskiemu posadę na kopalniach złota pod Johannesburgiem, gdzie miał brata, inspektora górniczego.

Znowu więc powrócił Polak do Transwaalu i zamieszkał w osadzie Boksburry, w wąskiej dolinie, otoczonej zewsząd skalistymi zboczami gór Witwaters Rand.

Pracował teraz w niedawno założonej kopalni złota i miał pod swym dozorem stu Hindusów, którzy dynamitem i piroksyliną odrywali skały a odłamki ich wywozili na fabrykę, gdzie maszyny meły je na proszek. W innych budynkach z tego proszku wyciągano złoto zapomocą trującego cjanku potasu.

Chociaż zarobki Skalskiego znacznie wzrosły, jednak nie czuł się on dobrze w Boksburry.

Nie mógł się Polak pogodzić z brutalnem traktowaniem cichych, milczących Hindusów przez dumnych i bezwzględnych Anglików.

Biali policjanci, dozorczy, sztygarzy, mechanicy i inżynierowie — każdy, kto chciał, nazywał bez-

bronnych, brązowych ludzi, „wstrętnemi psami“, kopał ich i bił grubemi kijami bambusowemi. Skalski słyszał też coś niecoś o tem, że Hindusów oszukiwano przy wypłacie zarobionych przez nich pieniędzy, nie dotrzymywano umów, a skargi, zano-szone przez nich sędziemu, zostawały bez odpowie-dzi i rozpatrzenia. Jeżeli któryś z nich, oburzony i zrozpaczony do reszty, chciał odejść, podrzucano mu do łomoka szczyptę złota, oskarżano o kradzież i proponowano więzienie, albo pozostanie na kopal-ni za mniejszą zapłatą. Takimi to wybiegami An-glicy pozbawiali Hindusów możliwości wyzwolenia się z rąk wyzyskiwaczy i czynili z nich bezpraw-nych niewolników.

Patrząc na złote sztaby, składane w skarbcu, Skalski myślał zawsze, że każda z nich przepojona jest łzami i krwią nieszczęsnych Hindusów i że nie-ma nikogo na świecie, kto mógłby ująć się za nimi.

Szczególnie pastwił się nad kolorowymi robotni-kami pewien młody inżynier, Stewart. Nielitoś-ciwy ten i brutalny człowiek, nie tylko bił Hindusów i murzynów, pracujących pod jego kierownictwem, lecz szczuł ich swoim psem. Zwierzę to stało się postrachem kopalni. Pies, pochodzący z gatunku buldogów, skakał na skinienie swego pana na ro-botników i szarpał ich. Sporo ludzi pokaleczył straszny pies, więc robotnicy unikali spotkania z nim i nienawidzili go równie gorąco, jak i jego pana, młodego, złośliwie uśmiechającego się inżyniera Ste-warta.

Anglik oddawał się sportom — jeździł konno, grał w tenisa, lecz szczególnie lubił polowania.

Unja Południowej Afryki uważana jest za prawdziwy raj dla myśliwych.

Poza górami Witwaters Rand, na równinie, przeciętej rzeką Limpopo, pasły się niezliczone stada antylop i zebra, a w zaroślach nadbrzeżnych żerowały dziki i czaiły się płowe lwy. W wąwozach górskich jęklonie zawodziły nocami płochliwe szakale i wyły, jakgdyby się śmiały, hieny.

Co sobota, po południu Stewart wyruszał na polowanie, biorąc ze sobą psa, z którym nie rozstawał się nigdy.

Pewnej niedzieli Skalski powracał od swego znajomego Boera, mieszkającego w górach, gdzie miał małą farmę i hodował rasowe kozy angorskie.

Było już późno. Księżyc przebiegł znaczną część swej drogi. Gwiazdozbiór Krzyża Południowego połyskiwał w całej swej okazałości. Gdzieś w dalekim wąwozie śmiała się urywanem szczekaniem hiena. Pokrzykiwały jakieś ptaszki, zaczajone w krzakach. Z cichym szmerem cięły powietrze rude nietoperze, cykając przenikliwymi głosami.

Uszu Skalskiego doszedł nagle słumiony, żałosny jęk. Przystanął i nasłuchiwał. Jęk powtórzył się po chwili, jeszcze słabszy, jeszcze żałośniejszy.

— Hej! Kto tam woła? — krzyknął Skalski, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Roman począł szukać wśród drzew, rosnących

na skraju drogi, i bielejącą w mroku ścieżką zagłębił się do lasu. Nagle potknął się i omal nie upadł. Pochylił się i ujrzał strasznego buldoga, należącego do Stewarta. Pies leżał w kałuży krwi z głową, roztrzaskaną kamieniem.

Skalski zrozumiał już wszystko, więc zaczął wołać:  
— Mister Stewart! Mister Stewart!

Wkrótce posłyszał słaby, drżący głos inżyniera. Odnalazł go w gąszczu krzaków. Stewart siedział na koniu. Ręce miał skrępowane za plecami, usta zakneblowane, a na szyi zarzucony strycek rzemienny, przymocowany drugim końcem do grubej gałęzi drzewa.

Skalski zwolnił Anglika od nałożonych mu więzów, pomógł mu zejść z konia i spoglądał na inżyniera pytającym wzrokiem.

Drżąc na całym ciele, Stewart opowiedział mu, że jacyś ludzie napadli go, związali i, zarzuciwszy pętlę na szyję, zostawili go pod drzewem.

— Zginałbym, gdyby nie pomoc pana! — zakończył swoją straszną opowieść. — Zawisnąłbym na gałęzi, bo już gonilem resztkami sił, wstrzymując konia nogami. Niecierpliwił się coraz bardziej i wkońcu wyrwałby mi się, pozostawiając mnie wiszącym na rzemieniu...

Skalski westchnął i cichym głosem powiedział, surowo patrząc na Anglika:

— Zasłużył pan na taką naukę za swoje okrucieństwo i znęcanie się nad ludźmi! Jeżeli miłe

panu życie, to należy zmienić swe postępowanie z robotnikami.

Inżynier porzucił wkrótce Boksburry i przeniósł się na kopalnię w Kimberley, bogatym mieście w Oranie.

Powstało ono w bezwodnej, pustynnej miejscowości w r. 1870, lecz szybko się rozbudowało i rozrosło, ponieważ odkryto tam bogate pokłady diamentów.

Inżynier Stewart zmienił się do niepoznania i znacznie łagodniej obchodził się teraz z robotnikami rządzonej przez siebie kopalni, gdzie dwa tysiące czarnych robotników oskardami, kilofami i wybuchowym materiałem burzyło górę, w której ukryte były drogocenne diamenty.

W parę miesięcy po odjeździe inżyniera z Boksburry, Skalski otrzymał od niego list.

Stewart proponował mu posadę starszego dozorca na robotach w ortach, czyli w poziomo idących szybach, skąd wydobywano zawierający drogie kamienie piasek.

Przypadek więc zrzucił, że polski emigrant dostał się do wymarzonej przez tysiące robotników kopalni diamentów. Wymagano tu bezwzględnej uczciwości, uwagi i pracy, lecz zato płacono hojnie i ustalono wysokie premje od zdobytych skarbów, ukrytych pod powierzchnią ziemi.

Rok po roku zwiększały się oszczędności Skalskiego, składane w banku, lecz długo jeszcze zapewne musiałby pracować w Kimberley, gdyby nie uśmiechnął mu się los.

Praca w kopalni nie była łatwa, gdyż na Skalskim ciążyła duża odpowiedzialność; obowiązkiem jego było bowiem ściśle wykonanie zadania, polegającego na wydobyciu wyznaczonej ilości piasku i przewiezieniu go na maszynę, gdzie dokonywano przemywania i wyławiania diamentów.

Czarni robotnicy nie odznaczeni się bynajmniej pracowitością, lecz zato wyteżali cały swój spryt na to, aby wypatrzyć w piasku połyskujący skarb, ukryć go i sprzedać z wolnej ręki Syryjczykom i Arabom, uprawiającym ten zakazany handel.

Teren kopalni był otoczony murem i wysokim ogrodzeniem z kolczastego drutu, przez który przebiegał silny prąd elektryczny. Każdy, kto dotknął tego drutu, padał śmiertelnie rażony. Przywłaszczony diamenty można było wynieść z kopalni tylko podczas dni wychodnych. Zdarzały się one jednak bardzo rzadko, bo zaledwie raz na miesiąc. Robotników przedtem poddawano surowej, obrzydliwej rewizji; specjaliści dozorczy badali wszelkie miejsca, gdzie można było ukryć drogie kamienie, rewizje te odbywały się też w dni robocze, znienacka. Jako ogólny przepis dla wszystkich pracujących, stosowano zażywanie środków przeczyszczających, a to z tego powodu, że murzyni chętnie łykali skradzione w szybach diamenty i w ten sposób wynosili je za bramę przedsiębiorstwa.

Gdy ten sposób stał się już bezużyteczny, Buszmeni uciekli się do innego, a mianowicie! zaczęli podcinać sobie skórę pod pachami, na głowie

i w pachwinie, robiąc we własnem ciele niewidoczną na zewnątrz kieszeń, w której ukrywali diamenty.

Tem się objaśniały panujące tu ohydne, poniżające człowieka obyczaje, jak używanie oleju rycynowego, nieustanne rewizje osobiste, przebywanie na zamkniętej zawsze przestrzeni i niemal całkowite pozbawienie wolności.

Takie życie obmierzło do reszty Polakowi. Wszystko się burzyło w nim i buntowało przeciwko takiemu istnieniu. Nieraz zadawał sobie pytanie, co jest lepsze — ciężka, źle opłacana praca w kopalniach węgla lub dozorowanie strusi, czy też dobry zarobek w Kimberley i ciągle uczucie wstydu i poniżenia?

Niewiadomo, jak długo wytrzymałby Skalski w tem diamentowem więzieniu, opasanem śmierciotną ogrodzeniem, a rządzonem przez dozorców z rewolwerami w ręku i felczerów, przemocą wlewających każdemu miarkę rycyny. Cała ta sprawa rozstrzygnęła się raptownie i ostatecznie.

Pewnego razu Skalski stał i liczył toczące się przed nim wózki z piaskiem. Wzrok jego padł nagle na jakiś błyszczący odłamek kamienia, poplamionego żółtą gliną.

Dogonił wózek i porwał kamyk. Położył go na dłoni i rozglądał uważnie.

Oczom swoim nie wierzył, ucieszony niezmiernie i zachwycony. Nie wątpił, że w kupie ziemi, żwiru i piasku znalazł duży, jak jajko, diament.

— A może to zwykły kryształ? — pomyślał.

Podbiegłszy do kadzi z wodą, opuścił do niej dłoń ze znalezionym kryształem i kilkoma innemi przezroczystymi kamykami.

Kamienie odrazu straciły swój blask, pogrążony zaś w wodzie kryształ rozbłysnął jeszcze wspanialej.

Roman Skalski wykrył diament tak wysokiej wartości, że, gdy złożył swój skarb w biurze, — otrzymane przez niego premjum wyniosło tysiąc funtów szterlingów.

— Dość tego! — zdecydował tedy bez namysłu. — Powracam do domu... Chociaż stary już jestem i znękany, a jednak... w Polsce na coś się przydam jeszcze, a za moje ciężko zapracowane pieniądze coś tam nowego powstanie!

\* \* \*

O tem właśnie myślał Roman Skalski, siedząc na trzcinowem krześle angielskiego parowca.

Zapomniał wkrótce o ciężkiej i dalekiej drodze, która biegła od Kalahari i Johannesburga poprzez Zatokę Wielorybów i Kimberley do ojczyzny — nad wszystko umiłowanej — wolnej, niepodległej Polski, gdzie nie było drutów kolczastych i dozorców, znęcających się nad pracującym ludem.

## ŚŁOWNICZEK.

### *Nad Nilem.*

**Dura** — gatunek prosa.

**Dachagba** — inaczej „feluka” — jednomasztowa łódź zagłowa.

**Meczet** — świątynia muzułmańska.

**Minaret** — wieża, z której kapłani (mułowie lub ich pomocnicy — muezzini) nawołują do modlitwy o wschodzie słońca, w południe i o zachodzie.

**Kait-bej** — najstarożytniejszy i najwspanialszy meczet.

**Ham-el-Azchar** — meczet, zbudowany na początku XV wieku.

**Hussein** — święty muzułmański, należący do rodziny Mahometa, założyciela Islamu, religii Jedyne Boga, którego Prorokiem ogłosił się Mahomet w VII-ym wieku po Nar. Chrystusa.

**Mułowie** — kapłani muzułmańscy.

**Fellachowie** — najliczniejszy szczep w Egipcie, stanowiący ludność wieśniaczą i rolniczą. Muzułmanie. Mówią po arabsku.

**Koptowie** — szczep z południa Egiptu. Chrześcijanie. Mowa ich zbliżona jest nieco do staro-egipskiej.

**Beduini** — koczownicy z pustyni Libijskiej, dochodzącej do lewego brzegu Nilu.

**Jemen** — południowo-zachodnia część półwyspu Arabskiego. Kraina ta w starożytności, jako najbardziej żyzna i bogata, znana była pod nazwą „Arabji szczęśliwej”.

**K a r a w a n - s e r a j** — karczma i hotel.  
**Muezzin** — sługa kościelny.  
**Gizeh** — lub **Giza** — miejscowość na lewym brzegu Nilu, w okolicach Kairu. Wznoszą się tam na skraju pustyni Libijskiej największe piramidy.  
**Sfinks** — olbrzymi posąg lwa o ludzkiej twarzy.  
**Cheops, Chefren, Mykerin** — imiona faraonów egipskich.  
**Amon** — główne bóstwo starożytnych Egipcjan.  
**Oziris** — bóstwo Egipcjan w starożytności.  
**Karnak** — {  
**Luksor** — { starożytne miasta egipskie.  
**Gurna, Ramesseum i Medinet-Abu** — starożytne miasta w Egipcie, obecnie pozostały tylko ruiny.  
**Kołchuci** — osobne bractwo religijne, trudniące się wykonywaniem obrzędów pogrzebowych.  
**Mumja** — ciało zmarłego człowieka, zabezpieczone przed gniciem, (zabalsamowane), owinięte w płótno i zamknięte w trumnie o kształtach i twarzy ludzkiej.  
**Kolosy Memnona** — ogromne posągi, kute w kamieniu. Według legendy miały one wydawać głosy o wschodzie i zachodzie słońca. Arabowie zniszczyli te starożytne zabytki Egiptu.

*W kraju piratów i szelków.*

**Molo** — mur, osłaniający port przed falami.  
**Burnus** — szeroki płaszcz arabski.  
**Turban** — zawój, noszony na głowie przez Arabów.  
**La illa illah u Mahomet** — **Rassul Allah Akbar**  
 — Niema Boga oprócz Boga Allaha i Mahometa, Proroka Allaha przedwiecznego.  
**Nargile** — przyrząd do palenia, w którym dym przechodzi przez wodę.  
**Kalifowie** — władcy, królowie.  
**Piraci** — rozbójnicy morscy.  
**Sidl** — pan (po arabsku).

**Salam alejkum** — pozdrowienie arabskie.

**Granaty** — południowy owoc, pełen soczystych, słodkich ziarn.

**Timbaktu** — miasto muzułmańskie nad Nigrem.

**Przylądek Dzinet** — północny przylądek w Algierji nad Śródziemnem Morzem.

**Timgad** — ruiny starożytnego miasta rzymskiego.

**Biskra** —

**Tugurt** —

**Sidi Salah** —

**Tamar** —

} oazy na pustyni Sahara; znaczne osady,  
chętnie przez Europejczyków odwied-  
zane.

### *W dżungli.*

**Rafja** — rodzaj palmy, dostarczającej mocnych włókien, z których murzyni robią maty, worki i powrozy.

**Moskity** — rodzaj komarów.

**Manjoka** — roślina, z której murzyni przygotowują mąkę.

**Mangi** — owoce drzewa mangowego. Zielono-różowe, z kształtu do migdała podobne, soczyste, o zapachu terpentyny, pożywne i zdrowe.

**Sztorman** — dowódca statku.

**Cuma** — lina, przytrzymująca okręt w przystani.

**Rufa** — tylna część statku.

**Burta** — bok statku.

### *Ciężka droga.*

**Cape Town** — (czytaj Kaptaun) — miasto Afryki Południowej, najważniejszy port. Nazywają je często Kapstatem.

**Boerzy** — osadnicy, zamieszkali oddawna w Południowej Afryce, z pochodzenia Holendrzy.

**Kozy angorskie** — kozy o długiej, białej wełnie.

**Durban, Pretorja, Johannesburg** — duże miasta  
południowo-afrykańskie.

**Ranczo** — ferma na stepie.

**Buszmeni z Kalahari** — murzyni (szczepu Buszmenów),  
mieszkający na pustyni Kalahari, oddzielającej  
Afrykę Południową od Angoli i Kongo.

**Kimberley** — bogate miasto w Połudn. Afryce.

**Stewart** — czytaj Stjuart.

**Mister** — po angielsku pan.

## SPIS RZECZY:

|                                       | Str. |
|---------------------------------------|------|
| Nad Nilem (Egipt) . . . . .           | 5    |
| W kraju piratów i szejków (z Algerji) | 21   |
| Z dżungli (z Afryki Środkowej)        | 37   |
| Ciężka droga (z Afryki Południowej) . | 52   |
| Słowniczek . . . . .                  | 66   |

# UTWORY

ASNYKA, BYRONA, CHRZANOWSKIEGO, FREDRY, GOETHEGO, KACZKOWSKIEGO, KARPIŃSKIEGO, KNIAŻNINA, KOCHANOWSKIEGO, KONDRATOWICZA, KONOPNICKIEJ, KRASICKIEGO, KRASZEWSKIEGO, KUBALI, LENARTOWICZA, MICKIEWICZA, ORZESZKOWEJ, PRUSA, RZEWUSKIEGO, SIENKIEWICZA, SKARGI, SŁOWACKIEGO, SZAJNOCHY, SZEKSPIRA I INNYCH NAJCELENIJSZYCH PISARZY POLSKICH I OBCYCH

ZNAJDUJĄ SIĘ  
W BIBLIOTECZCE UNIWERSYTETÓW  
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

GEBETHNERA  
I WOLFFA



257 TOMIKÓW W CENIE JUŻ OD GR. 15